NOWY

DZWONEK.

PISMO MIESIĘCZNE.

Rok XXV. Maj — 1918. — Nr. 5.

NAKŁADEM WYDAWCY.
KRAKOWSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA W KRAKOWIE.

Adres redakcyi: Kraków ul. Powiśle l. 12.

Kalendarzy żadnych na składzie nie mamy, ani ich nie sprzedajemy.

Życzliwych nam Czytelników

prosimy o rozszerzanie „NOWEGO DZWONKA“ między znajomymi i zachęcanie ich, aby sobie to pismo zaprenumerowali.

Prosimy także wszystkich Przyjaciół naszego pisma aby wspomagali nas **osobnymi naddatkami** na **„fundusz wydawniczy“** dla „Nowego Dzwonka“. Samą bowiem prenumeratą, niepodobna dziś, przy wielkiej drożyźnie papieru, druku i t. p. pokryć wszystkie koszta pisma, a my nie mamy żadnych funduszów na dopłacanie do pisma.

Kto dziś wspomaga pismo katolickie, spełnia taki sam dobry uczynek, jakby dawał ofiarę na budowę kościoła; — tak orzekł jeden z ostatnich Papieży.

Jeżeli kto nie otrzyma „Nowego Dzwonka“ w swoim czasie, a najpóźniej 3 lub 4 dni po 1-ym dniu w miesiącu, niech najpierw upomni się o niego u swego Urzędu pocztowego i zwróci mu uwagę, że pismo do rąk jego nie dochodzi, a nas niech zawiadomi reklamacyą, że tego a tego numeru pisma nie otrzymał.

Reklamacyę pisze się na kartce papieru, daje się ą do koperty, na kopercie w górze pisze się: Reklamacya, a niżej adres do Redakcyi. Koperty się nie zalepia. — Reklamacyi się nie opłaca.

Rocznik XXV. Kraków 1. Maja 1918. Nr. 5

NOWY DZWONEK

PISMO LUDOWE

WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU — OKOŁO DNIA 1-go.

Prenumerata „NOWEGO DZWONKA“ wynosi w Austryi na rok: 5 koron — półrocznie: 2 korony 50 hal. — Do Niemiec na rok: 6 koron. — Do Ameryki rocznie 2 dolary. — Numer pojedynczy: 50 hal.

Adres: Redakcya „NOWEGO DZWONKA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

O dach i ziemię.

W styczniu tego roku pojawił się w parlamencie wniosek, postawiony przez jednego z naszych posłów ludowych, żądający przymusowej parcelacyi większych majątków ziemskich na rzecz biednej ludności bezrolnej. Wnioskodawca miał zapewne na myśli obecne ciężkie położenie tych biedaków, jakoteż i przyszły los tych żołnierzy, którzy wrócą z wojny z utraconem zdrowiem i zmniejszoną zdolnością do pracy i dla nich to zażądał ustawowego zakładania mniejszych gospodarstw rolnych kosztem większych dworów i majątków publicznych.

Postawionego wniosku nie wzięto jeszcze pod obrady. Jednak przyznać należy, że poruszona sprawa należy do zagadnień bardzo doniosłych i najnowszych. Szczególnie u nas w Austryi i w Niemczech wybija się w czasie wojny niemal na plan pierwszy.

Jakaż w niej zawiera się racya? Każdy to widzi, a tem dobitniej zauważa teraz w czasie wojny, że pierwszym i najważniejszym środkiem do życia i jego rozwoju jest ziemia. Pan Bóg dał jej też ludziom w dostatecznej ilości. Tymczasem wbrew danemu prawu przyrodzonemu ziemia ta zamiast służyć dla dobra wszystkich ludzi, staje się coraz więcej uprzywilejowaną własnością małej liczby jednostek. I tak, jak w starożytności za czasów rzymskich wydziedziczonych zamieniano w niewolników, tak podobnie dzisiejszy ustrój społeczny i gospodarczy powiększa liczbę

bezrolnego i bezdomnego proletaryatu, skupionego głównie po miastach i okolicach przemysłowych.

Szkodliwe dla zdrowia i moralności warunki życia w miastach podkopują przedwcześnie zdrowie i siły ludności. Materyał ludzki zużywa się szybko i ginie jak na wojnie.

Na wsi brak znowu dostatecznej ilości ziemi zmusza biedniejszych do opuszczania rodzinnego miejsca i do tułaczki po obcych krajach za zarobkiem. Z tego głównie powodu wyjechało do Ameryki z Austryi w ostatnich sześciu latach przed wojną przeszło dwa miliony ludzi, a najwięcej z naszego kraju Galicyi.

Jako jeden z głównych powodów tych niezdrowych stosunków, które podkopują siłę i byt całych narodów uważa wielu nieodpowiedni rozdział ziemi wśród właścicieli.

I chyba mamy racyę, mówią, jeżeli się widzi, jak jedni i to w małej stosunkowo liczbie, skupiają w swych rękach wielkie obszary i majątki ziemskie, a drudzy, których liczy się na miliony, nie posiadają nic jak tylko ścieżkę na drodze. Wskazują to proste cyfry. Na Węgrzech wśród 3 milionów gospodarstw rolnych jest 25 tysięcy gospodarstw, należących do mniejszej jeszcze liczby właścicieli, którzy posiadają prawie połowę całego obszaru ziemi w kraju. W Rosyi europejskiej należało przed wojną cztery piąte części ziemi do rodziny carskiej i szlachty, a tylko jedna piąta do gmin i chłopów. Lordowie angielscy wykupioną od chłopów ziemię zamieniają na parki dla zwierzyny leśnej, a lud pracuje po fabrykach i rozprasza się po całej ziemi. W naszej Galicyi 2.500 szlachciców i żydów posiada dwie piąte, czyli blizko połowę całego obszaru ziemi w kraju.

Na ten niewłaściwy rozdział ziemi pomiędzy posiadających zwrócił szczególnie uwagę uczony amerykański Henry George i wykazał, że tego rodzaju podział dóbr przyrodzonych, a zwłaszcza ziemi jest niesprawiedliwym, jako niezgodnym z wolą Bożą, zawartą w Piśmie św., uważając go za główny powód wszelakiego rodzaju nędzy na świecie.

Tę myśl Henry'ego George'a przejęli niektórzy amerykańscy księża katoliccy, za co ich początkowo spotkało ze strony ich biskupów prześladowanie. Lecz wielki Papież społeczny Leon XIII wdał się w tę sprawę, bliżej ją rozpatrzył i orzekł, że tego rodzaju twierdzenia nie sprzeciwiają się w niczem dogmatom i zasadom moralności Kościoła katolickiego. Stąd też otwartym szermierzem tej idei stał się jeden z biskupów węgierskich: Otokar Prohaska, a zmarły niedawno biskup monachijski kardynał Fran-

ciszek Bettinger należał do niemieckiej ligi tejże reformy własności ziemskiej, której przywódcą jest Adolf Damaszke.

Jakie zajmie stanowisko parlament wobec tej ważnej na dzisiejsze czasy sprawy, nic dotąd nie wiadomo. W każdym razie nie można żądania wymagającego reformy co do posiadania własności ziemskiej i ustawowego ograniczenia obszaru majątków ziemskich spychać tylko do roli jakiegoś pomysłu moskiewsko-bolszewickiego, ale uważać je należy za jeden z podstawowych wymagań sprawiedliwości społecznej dla najbliższej przyszłości.

X. Dr. Mcz.

Z chwili bieżącej.

Zamiast „uwag o różnych sprawach" pisanych i podawanych w tem miejscu przez „Prawdomownego", umieszczać będziemy odtąd w artykułach pod nagłówkiem: „Z chwili bieżącej" różne wiadomości polityczne i społeczene, którym nagłówek artykułu lepiej odpowiada, „uwagom" zaś daliśmy inne miejsce na początku drugiej połowy numeru pisma naszego.

Hajdamacy przy robocie.

W Galicyi wschodniej uprawiają prowodyrzy ukraińscy jawną i cichą agitacyę pośród chłopów ruskich przeciw dworom polskim, namawiając chłopów i kobiety, by nie szli pracować na łany dworskie, bo wtedy Lach-didycz nie mając robotników, będzie musiał prędzej czy później wynieść się ze swej ziemi i ta przypadnie ruskim „chliborobom".

Są to pierwsze usiłowania wprowadzenia do naszego kraju bolszewizmu z Rosyi i Ukrainy.

Prócz tego różni agitatorzy ukraińscy, jak donoszą z powiatu rawskiego, wmawiają w lud ruski, że obszary dworskie wspólnie z wójtami postarały się o tak zwany „papier pańszczyźniany", i że wójtowie podpisali się na pańszczyznę.

Poszło to stąd, że Ekspozytura rolnicza zażądała od gmin spisu ilości morgów roli u każdego gospodarza i siły roboczej ludzkiej w każdej gminie.

Musi to być agitacya już bardzo zuchwała i bardzo lud podjudzająca, skoro ludność ruska z Wróblaczyna napadła w zeszłym miesiącu pewnej nocy na mieszkanie ekonoma we dworze, zniszczyła je i zrabowała 1200 koron. W powiecie zaś pobito kilku wójtów i nawet kilku proboszczów ruskich.

Położenie jest w wielu okolicach Galicyi wschodniej wprost straszne. Ciemnemu chłopstwu ruskiemu trudno wytłumaczyć, że o powrocie pańszczyzny mowy niema, a jeżeli władze żądają, by lud dopomagał dworom w pracy na roli to tylko w tym celu, by kraj nasz nie był w przyszłym roku wystawiony na taki brak chleba i żywności, jak w tym roku.

Donoszą też i z innych okolic Galicyi wschodniej, że tam hajdamacy na dobre hulają, zupełnie na sposób bolszewicki.

I tak pisze „Echo przemyskie", że w samą Wielkanoc napadli ukraińcy ze Starzawy na żołnierza pilnującego siana wojskowego i tak go pobili, że go w stanie nieprzytomnym odwieziono do szpitala w Przemyślu.

Niedaleko Przemyśla w Stubnie i Stubienku napadają na Polaków wyrostki ukraińskie, grożąc pobiciem. Są to wychowańcy tamtejszego ruskiego nauczyciela, który w szkole bije polskie dzieci po palcach za „polskie" żegnanie się.

Coraz częściej słychać w powiatach wschodnich, jak Ukraodgrażają się, że będą „Lachów rizaty". Godziłoby się, aby władze uważnie się przypatrywały robocie naszych ukraińców i zawczasu wzięły się do tych galicyjskich bolszewików.

Czernin — Burian.

Najważniejszym wypadkiem politycznym w Austryi z ostatnich czasów jest ustąpienie hr. Czernina z urzędu ministra spraw zagranicznych.

Ustąpił on z tej godności — jak piszą niemieckie gazety — bo cesarz Karol miał w wielu politycznych sprawach inne poglądy i życzenia, niż hr. Czernin.

Podobno ta różnica zapatrywań między cesarzem a ministrem Czerninen trwała już od pokoju zawartego w Brześciu litewskim z Ukrainą, gdzie, jak wiadomo — hr. Czernin oddał nowej Ukrainie Chełmszczyznę odcinając ją od Polski, do której od kilku wieków należy,

Tym czynem wzburzył Czernin Polaków i prawie że unicestwił połączenie przyszłej Polski z monarchią austryacką pod berłem cesarza Karola.

Gdy zaś przybył hr. Czernin na święta wielkanocne do Wiednia, przerwawszy na jakiś czas rokowania pokojowe z Rumunią, miał we wtorek po świętach mowę do radnych miejskich miasta Wiednia, w której obraził Czechów, zarzucając im zdradę i inne niecnoty.

Na domiar zaś tego wszystkiego zaczepił w tejże mowie i prezydenta ministrów francuskich Klemanso, twierdząc, że tenże usiłował wybadać rząd austro-węgierski na jakich warunkach byłby skłonny do rozpoczęcia rokowań pokojowych, a gdy się od hr. Czernina dowiedział, że o zwrocie Alzacyi i Lotaryngii Francyi ze strony Niemiec niema mowy, zerwał rokowania.

Była to dla ministra francuskiego rzecz arcynieprzyjemna, bo on w obec Francyi i całego świata udaje, że Francya nie myśli o pokoju, aż pobije Niemców, a tu Czernin coś innego mówi.

Aby tedy zemścić się na Czerninie, ogłosił rząd francuski, że istotnie myślał o pokoju a to na podstawie listu cesarza Karola, pisanego do jego szwagra księcia Sykstusa a przedłożonego rządowi francuskiemu, w którym cesarz Karol miał pisać, że nie miałby nic przeciw oddaniu Francyi Alzacyi i Lotaryngii.

Wiadomość ta narobiła tyle hałasu w świecie, że hr. Czernin musiał ustąpić z urzędu ministra spraw zagranicznych, a rząd austryacki publicznie zaznaczył, że list cesarski wprawdzie istnieje i był pisany, ale niema w nim mowy o oddaniu Francyi wspomnianych krajów. Równocześnie zaś cesarz Karol w telegramie do cesarza niemieckiego zaprzeczył twierdzeniom rządu francuskiego, jakoby tak pisał, jak ów rząd twierdzi, i zapewnił go o swej wierności i stałości w przymierzu.

Ustąpienie hr. Czernina sprawiło wielką boleść Niemcom austryackim, bo widzieli w nim najgorętszego obrońcę niemieckiego panowania w Austryi i najściślejszego związku z Prusami a pogromcę Słowian w Austryi. Ucieszyli się natomiast bardzo z ustąpienia Czernina Polacy, Czesi i wszyscy Słowianie w Austryi.

Następcą hr. Czernina został przez cesarza mianowany baron Burian, Węgier, który już raz był takim ministrem przed Czerninem.

Baron Burian zapewnia wszystkich, że będzie uprawiał politykę w ten sam sposób, jak jego porzednik, i że jest także zwolennikiem dalszego ścisłego przymierza Austryi z Niemcami.

Polacy zajmują w obec br. Buriana na razie stanowisko wyczekujące, tj. czekają na jego czyny w sprawie polskiej. Polacy domagać się będą i od niego, jak się domagali od Czernina: niepodzielności Galicyi, niepodzielności Królestwa polskiego, oddania Chełmszczyzny i połączenia Królestwa polskiego z Austro-Węgrami pod berłem rodziny habsburskiej.

Zaborczość i zaciętość niemiecka.

Pod wpływem zwycięstw niemieckich na froncie francuskim, względnie flandryjskim, bierze w Niemczech górę stronnictwo tak zwanych „aneksionistów", którzy wcale nie godzą się na zeszłoroczną uchwałę parlamentu niemieckiego, by dążyć do pokoju bez zaborów i bez odszkodowań, ale przeciwnie domaga się owo stronnictwo prowadzenia wojny aż do zupełnego pokonania nieprzyjaciół i przyłączenia do Niemiec tak krajów odebranych Rosyi jaky i zdobytych na Francyi oraz Belgii.

Nawet katolickie stronnictwo „Centrum", które głównie pragnęło pokoju opartego na porozumieniu, zaczyna się chwiać w tem swojem zapatrywaniu i również nie miałoby nic przeciw „ubezpieczeniu granic", czyli przeciw zaborom innych krajów.

* * *

Niewesołe też wieści dochodzą z Niemiec w sprawie dalszego postępowania rządu z Polakami.

Z początkiem wojny obiecywał rząd niemiecki Polakom, że za krew w tej wojnie przez nich przelaną, uwzględni ich narodowe żądania i zrówna polskich poddanych co do praw z poddanymi niemieckimi.

Tej obietnicy jednak rząd niemiecki dotychczas nie spełnił i nie myśli spełnić, lecz zamierza jak dawniej, uciskać Polaków, jak to widać z niedawnych rozpraw pruskiej Izby panów.

Członkowie tej Izby uchwalili znowu fundusze na szerzenie niemczyzny na ziemiach polskich w zaborze pruskim, domagali się nadto niektórzy ostrzejszych praw przeciw Polakom i prócz tego odcięcia od nowej Polski znacznych obszarów ziemi i przyłączenia ich do Niemiec.

Wogóle ze wszystkich mów pruskich magnatów przebijała się bezgraniczna nienawiść ku Polakom, z czego widać, że próżna jest nadzieja niektórych Polaków, marzących o zgodzie między Niemcami a Polakami.

Rosya myśli o dalszej wojnie.

Mimo zawarcia pokoju z Niemcami i Austryą, mimo rozbrojenia i rozpuszczenia żołnierzy do domu, Rosya, to jest jej obecny rząd żydowsko-bolszewicki, nie wyrzeka się dalszej wojny.

Nawołuje głównie do niej komisarz ludowy, czyli minister Trocki, który pozostał na czele części rządu w Petersburgu, pod-

czas gdy druga część rządu z ministrem Leninem przeniosła się do Moskwy.

Trocki domaga się, aby każdy Rosyanin był wyćwiczony w rzemiośle wojennem i w razie potrzeby stanął do szeregów.

Również i Lenin ze swoimi zwolennikami nie bardzo jest zachwycony pokojem zawartym z państwami centralnemi i uważa go za szkodliwy dla Rosyi.

Niema wątpliwości, że państwa koalicyjne pragnęłyby bardzo, aby Rosya na nowo się uzbroiła przeciw Niemcom, ale rzecz to dość wątpliwa, czy to będzie możliwem. W Rosyi panuje ciągle jeszcze taki chaos, taki bezład, że o stworzeniu tam nowej armii, zdolnej do walki, trudno nawet marzyć.

Podobno, gdzieś tam na dalekim Wschodzie, tworzy się jakaś nowa armia rosyjska nie na wojnę z Niemcami, lecz dla obalenia rządu żydów i bolszewików.

Sprawy polskie.

Nowy rząd.

Polska ma znowu nowy rząd, nowe ministerstwo, na którego czele stanął jako prezydent Dr. Jan Kanty Steczkowski, który równocześnie jest też ministrem skarbu.

Dr. Steczkowski, były dyrektor Banku krajowego we Lwowie, pochodzi z Rzeszowa, gdzie też ukończył gimnazyalne nauki.

Nowy rząd polski zapowiedział, że głównym jego celem będzie dalsza budowa państwa polskiego w przymierzu z państwami centralnemi.

W pierwszym rzędzie pragnie nowy rząd polski objąć, jeżeli to będzie możliwem, już od czerwca bież. roku różne urzędy i szkoły, któremi dotąd kierują władze państw okupacyjnych i starać się też będzie nowy rząd o stworzenie armii polskiej, o ułatwienie powrotu do Polski wszystkim wygnańcom przebywającym w Rosyi i otoczenie szczególną opieką tak stanu robotniczego jako i rolników, zwłaszcza mniejszych, pomiędzy których zamyśla za odpowiednią zapłatą rozdzielić grunta dawnych dóbr królewskich i dóbr majorackich.

Przedewszystkiem zaś zajął się nowy rząd przeprowadzeniem wyborów do Rady Stanu, która tymczasowo zastępować będzie Sejm i uchwali dlań ustawę wyborczą.

Do Rady Stanu wybrano już 51 członków, między nimi 9 żydów. Najwięcej członków chrześcijańskich wybrano z tak zwanego „Koła międzypartyjnego“, obejmującego różne stronnictwa polityczne, między któremi jednak rej wodzą narodowi demokraci, czyli wszechpolacy.

Znak to, że wszechpolacy nie czekają na zwycięstwo koalicyi, od której spodziewali się odbudowy całej Polski z trzech zaborów, ale myślą już teraz zabrać się do pracy nad budową Polski, bo widocznie już nie bardzo i oni wierzą w zwycięstwo koalicyi nad Niemcami i Austro-Węgrami.

Po wszechpolakach znaczną też liczbę członków w Radzie Stanu mieć będzie stronnictwo „aktywistów“, którzy od chwili obwołania przez państwa centralne Polski, jako państwa niezależnego, byli za jego budową w przymierzu z temiż państwami.

Wielką troskę sprawiają nowemu rządowi polskiemu dwie sprawy, to jest sprawa Chełmszczyzny i Podlasia, które państwa centralne przyznały Ukrainie i zapowiedzi ze strony Niemiec dążące do okrojenia Polski od zachodnich granic na rzecz Prus.

Co się tyczy Chełmszczyzny, to jak się zdaje, żądania i prawa Polaków do tej części Polski będą spełnione i Chełmszczyzna pozostanie przy Polsce.

Gorzej się przedstawia sprawa „niemieckiego ubezpieczenia granic“ kosztem Polski. Prawie wszystkie stronnictwa w Niemczech poszły za głosem nienasyconych hakatystów pruskich i domagają się, by pewną część Zagłębia Dąbrowskiego, gdzie są obfite kopalnie węgla kamiennego przyłączono do Prus, a część zostawiono państwu polskiemu, ale połączono ją pod względem gospodarczym z obwodem przemysłowym górnośląskim.

Że przez taki nowy zabór części Polski, kopią Niemcy sami grób dla porozumienia polsko-niemieckiego, niewiele ich to boli, bo oni dziś czują się, jako zwycięzcy, panami świata i myślą, że takimi na wieki pozostaną.

Wojna i pokój.

Od 21 marca br. toczy się olbrzymi bój na froncie zachodnim, głównie na odcinku flandryjskim, zajmowanym przez woj-

ska angielskie. Miliony ludzi krwawią się w strasznej rzezi; śmierć zbiera obecnie w tej wojnie najobfitsze żniwo.

Niemcy, jak dotąd, są i tam zwycięzcami; Anglicy, którym na pomoc spieszą wojska francuskie, ustępują przed naporem niemieckim, przyczem ponoszą olbrzymie straty w ludziach i w materyale wojennym.

Podobno stracili już Anglicy w tych ostatnich walkach pół miliona ludzi i blisko 2 tysiące dział.

Atak niemiecki zdąża w dwóch kierunkach, mianowicie prosto na zachód celem odcięcia północnego frontu angielskiego od frontu francuskiego, i na południowy zachód ku Paryżowi.

Anglicy i Francuzi rzucają w bój coraz to nowe siły, ale mimo swego nadludzkiego prawie bohaterstwa, nie mogą Niemców pokonać ani wstrzymać ich pochodu, który, choć powoli, do swego celu zdąża.

Mimo tych niepowodzeń angielskich i francuskich, obie te armie sprzymierzone nie upadają na duchu, a ich dowódcy ufają, że straszne wysiłki niemieckie zakończą się klęską. Bądź co bądź jednak — pisze pewna gazeta francuska — faktem jest, że żołnierze mają takie uczucie, jakoby ta bitwa obecna miała być ostatnią wielką bitwą w tej wojnie.

* * *

Czy istotnie ta wielka bitwa będzie końcem strasznej wojny światowej, o tem wątpić się godzi. Wprawdzie austro-węgierski minister wojny w rozmowie z pewnym gazeciarzem węgierskim wyraził się, że pokój ogólny nie jest już zbyt dalekim, i że nieprzyjaciele nasi nie długo już będą się opierali pokojowi, ale właśnie po stronie nieprzyjaciół nie widać żadnych oznak pokojowych.

We Francyi rząd prześladuje jawnie wszystkich zwolenników pokoju, a francuski minister skarbu Klotz oświadczył, że jedynym pokojem, który Francya może przyjąć, jest pokój, przywracający Francyi wszystkie zebrane jej prowincye i naprawienie szkód wyrządzonych przez nieprzyjaciela, co nie innego oznacza, tylko wojnę do upadłego.

Tak samo rządy Anglii i Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki nie chcą jeszcze słyszeć o pokoju z Niemcami, choć i w tych krajach, jak i we Francyi i we Włoszech lud domaga się pokoju.

Niedawno temu kongres górników angielskich uchwalił rezolucyę wzywającą rząd, by skorzystał z każdej sposobności i zakończył już raz tę straszliwą wojnę, ale rząd na to wszystko nie uważa, bo na rządy państw koalicyi mają wielkie wpływy bogaci fabrykanci amunicyi i wojenni dostawcy, którzyby pragnęli, aby wojna trwała jak najdłużej.

Istnieje tedy smutna nadzieja, że i na najbliższą zimę i wiosnę, a może i na dalszy jeszcze czas wojna się przeciągnie, bo Anglicy odgrażają się, że choćby wojna miała trwać 20 lat, to oni ją prowadzić będą, aż osiągną to, czego chcą, to jest, aż zniszczą zupełnie Niemcy.

Straszne zbrodnie Ukraińców.

O stosunkach, jakie zapanowały na Podolu i Wołyniu, od czasu obalenia rządów carskich a z nastaniem rewolucyi i obwołania Ukrainy państwem niepodległem, dochodzą coraz dokładniejsze wieści, ale wieści nader bolesne dla nas Polaków, a tak przytem straszne, że włosy stają na głowie gdy się słyszy o nich od naocznych świadków. Wprost wierzyć się nie chce, aby takich barbarzyństw mógł się dopuszczać lud chrześcijański, a jednak wierzyć się musi, bo wszystko jest prawdą.

Całe Podole i Wołyń, wchodzące dziś w skład utworzonej niedawno przez państwa centralne Ukrainy — to jedna kupa popiołów i zgliszczy, o ile chodzi o dwory polskie, to kraj pusty, nad którym panuje pijana i do ostatnich granic rozbestwiona tłuszcza bolszewicko-hajdamacka.

Z polskich majątków, które tam od lat 300 istniały i były jakby oazami kultury wśród pustyni ciemnoty ukraińskiej, nie pozostało nic. Nie widać tam dziś ani jednego prawie dworu, ani jednego pałacu wielkopańskiego, ani jednego zabudowania folwarcznego. Nawet ogrody wycięto w pień.

Zdziczałe chłopstwo ukraińskie, wyswobodzone z pod knuta carskiego, tak pojęło swobodę obywatelską, że rzuciło się na dwory polskie i zniszczyło daszczętnie dobytek polski, do czego znalazło nie małą także otuchę w tak zwanym „Uniwersale Rady ukraińskiej", czyli nowego rządu ukraińskiego, który skasował wszelką prywatną własność ziemską i przyrzekł oddać ją ludowi.

Chłopstwo ukraińskie nie czekając na przeprowadzenie tego „Uniwersału", samo zabrało się do zabierania ziemi dworskiej, a pałace i dwory zburzyło i z ziemią zrównało.

Jeden z ziemian galicyjskich, który niedawno przez kilka dni bawił w Kamieńcu podolskim, powróciwszy stamtąd, opowiada, że wszędzie, którędy przejeżdżał, sterczą w miejsce dworów polskich same tylko zwaliska, a gdzieniegdzie i zwalisk niema, tylko popioły i niewielkie zgliszcza.

Rozbestwione chłopstwo niszczyło te dwory w kilku nieraz minutach. Wszystkie meble, sprzęty, książki rabowała tłuszcza, lub je niszczyła bezmyślnie; szczególnie kobiety oddawały się z szczególną namiętnością pasyi niszczenia.

Wszystkie budynki, stajnie, magazyny, zostały w jednej chwili rozbite, a inwentarz zabrany, częścią zaś wybity.

Podczas tych napadów na dwory, zdarzyło się w jednej wsi na Podolu, niedaleko od granicy galicyjskiej, że ktoś puścił pogłoskę, jakoby właściciel dwory zabił sołdata na folwarku. Postanowiono rozprawić się z nim po „bolszewicku".

Gdy rozpasana horda żołnierzy i chłopów wtargnęła do dworu, matka właściciela, kobieta tak ciężko chora, że dni jej były policzone, z krucyfiksem w ręku, zaledwie trzymając się na nogach, wyszła do napastników i przysięgła wobec nich, że syn w dniu, kiedy owego żołnierza zabito, nie był wcale obecny na folwarku. Wtedy jeden z sołdatów podskoczył do niej, uderzył ją w twarz, krucyfiks wyrwał i podeptał, a wyciągając nóż z za pasa, zawołał: „Wot nasz Boh!" Chłopi, obecni przy tem okropnem zajściu, nie tylko nie protestowali, ale przyjęli ohydny postępek sołdata okrzykami zadowolenia.

W wielu miejscowościach rozgrabiono nie tylko mieszkania popów, ale nawet zakrystye cerkiewne. W pogranicznym pasie kosztowności, ubrania i sprzęty, zrabowane po dworach, wywożono, czy wywieziono do poliskich miasteczek galicyjskich, gdzie znajdywały chętnych nabywców, głównie, rozumie się żydów.

Również i z Mińszczyzny (na Białej Rusi) donoszą, że i tam padł szereg majątków polskich pod zbójecką dłonią chłopów ruskich. Przy rabowaniu dworu w Dubrowach, rozbito w kaplicy tabernakulum, znieważono Najświętszy Sakrament, następnie rabusie ubrawszy się w ornaty, poszli zarzynać bydło.

Właściciele ziemscy, o ile zdołali uciec, uciekli do pobliskich miast, którzy zaś pozostali, by bronić swych majątków, zostali zabici przez zdziczałą ludność hajdamacką.

Jak dziką jeszcze i barbarzyńską jest dusza chłopa ukraińskiego świadczy także najnowszy wypadek z ułanami polskimi, którzy należeli do wojska rosyjskiego, a po wybuchu rewolucyi wydzielili się z niego i tworzyli osobne oddziały, które nie poszły w ślady bandy bolszewickiej, ale zachowały u siebie karność wojskową, i o ile mogły, broniły na Ukrainie, dworów polskich przed napadami hajdamackich hord.

Jeden z takich oddziałów, który przebywał na Podolu, rozkwaterowany po wsiach koło miasta Winnicy. Gdy ułani tegoż oddziału znaleźli się w pierwszej połowie kwietnia br. w krytycznem położeniu bez środków do życia, postanowili zarekwirować żywność w owych wsiach, nie gwałtem jednak, lecz za pieniądze, ofiarując chłopom wysokie ceny.

Chłopi nie tylko odpowiedzieli odmownie, ale zebrali się w liczbie sześciu tysięcy osób, napadli na trzy szwadrony ułanów i znieśli je zupełnie. Pewna ilość rannych dostała się do szpitala w Niemirowie, skąd jednak ludność ich wywlokła i na ulicy dobijała.

* * *

ROZMAITOŚCI.

Opóźniliśmy się z wydaniem tego 5-go numeru „Nowego Dzwonka“, a to z tej przyczyny, że jak wogóle we wszystkich drukarniach, tak i w drukarni, gdzie dotychczas nasze pismo było drukowane, coraz większy odczuwać się daje brak pracowników drukarskich i papieru.

Pragnąc dalej „Nowy Dzwonek“ wydawać, szukamy dla niego innej drukarni, nie wiemy jednak, czy nam się uda taką drukarnię znaleźć; w każdym razie, zdaje się, że i następny numer (na czerwiec) wyjdzie także o kilka dni później po terminie.

A gdyby, czego nie daj Boże, wcale w czerwcu nie wyszedł, byłby to smutny znak, że nie udało nam się pozyskać żadnej drukarni do drukowania „Nowego Dzwonka“.

Może jednak Bóg da, że tak źle nie będzie, ale dziś wojna niejednemu już krzywdę zrobiła, więc i my jesteśmy przygotowani na nieszczęście przerwania wydawnictwa, choć przed tem nieszczęściem bardzo się bronimy.

Znowu druk i papier podrożały i to tak znacznie, że w razie dalszego wydawania „Nowego Dzwonka" będziemy zmuszeni albo zmniejszyć objętość numeru, zatrzymując dotychczasową prenumeratę, albo zwiększyć prenumeratę, bo koszta wydawnictwa tak już wzrósły, że za 5 Koron na rok niemożliwem będzie dawać co miesiąc taki dość duży numer pisma, jaki my dajemy.

Ludzie bez sumienia. Po wysłaniu 4-go numeru „Nowego Dzwonka" w kwietniu, otrzymaliśmy znowu dużo reklamacyj i zażaleń od Czytelników, że tego numeru nie otrzymali.

Powtarzamy i teraz, że my każdemu na pewno pismo wysyłamy, kto za nie zapłacił, a jeżeli zginie w drodze, to już nie nasza wina, lecz albo poczty, albo, co dziś najczęściej się zdarza, kradną je teraźniejsi listonosze wiejscy, którymi są z braku ludzi dorosłych, niedorostki bez sumienia, bez czci i wiary.

Kto tedy pisma nie otrzyma, niech nas o tem reklamacyą zawiadomi, a swoją drogą niech swej poczcie zwróci uwagę, że mu ktoś pismo kradnie.

Kłamstwa i prawda o zajściach krakowskich. W połowie kwietnia przyszło w Krakowie z powodu braku chleba i mąki do wybryków ulicznych, w których brała udział przeważnie młodzież płci obojej, i to młodzież z przedmieść krakowskich, podburzona przez jakichś nieznanych agitatorów.

Jak zwykle bywa przy takich zaburzeniach, tak i teraz znaleźli się pośród tłumu demonstrantów, liczni złodzieje i rabusie, którzy napadli na niektóre sklepy i obrabowali je, a że po drodze, gdzie tłum szedł, najwięcej było sklepów żydowskich, więc się tym sklepom najwięcej dostało.

Żydzi narobili jednak ogromnego hałasu w gazetach żydowskich wiedeńskich, oczerniając Polaków, że urządzają pogromy żydów na wzór rosyjski, a jedna ze szmat żydowsko-wiedeńskich rzuciła się przytem na szlachtę polską, posądzając ją o wywołanie tych rozruchów, w których, wedle kłamstw żydowskich, miało zginąć kilku żydów.

Tymczasem urzędowe śledztwo stwierdziło, że po stronie żydów nie zginął ani jeden żyd, natomiast po stronie chrześcijańskiej, straciły życie dwie osoby, kilka zaś odniosło ciężkie rany.

Co można znaleźć u żydów? Podczas rewizyi dokonanej niedawno u trzech żydowskich lichwiarzy żywnościowych w Warszawie, znaleziono ukryte w ich mieszkaniach prywatnych: 93 worki prawdziwej kawy niepalonej, 7 i pół worka kawy palonej, 98 skrzyń prawdziwej rosyjskiej herbaty, 71 skrzyń kakao, 3 skrzynie sardynek i 82 worki fasoli. Prócz tego znaleziono 9 wielkich pak napełnionych gotowemi ubraniami męskiemi. Wartość znalezionych towarów wynosi blisko pół miliona koron.

Żydzi wykupują ubrania w Czechach. W południowych Czechach włóczy się banda żydów z Galicyi, straszących ludzi, że w najbliższym czasie nastąpią po domach rekwizycye ubrań i obuwia i że każdy będzie musiał oddać wszystko aż do jednego ubrania. Lepiej więc sprzedać za tanie pieniądze. Na zapytanie czy sami nie boją się tej rekwizycyi, odpowiadają, że oni mają na to rozum.

I prawdę mówią. Czasem robią władze galicyjskie poszukiwania u żydów za artykułami żywnościowymi, a jednak rzadko coś u żydów znajdą, choć to rzecz powszechnie wiadoma, że żydzi mają u siebie całe magazyny żywnościowe, ubraniowe i innych artykułów potrzebnych do codziennego życia.

Śmierć z powodu radości. Wysłużony sekretarz pocztowy Ściążek w Zabrzu (na Śląsku Górnym) liczący lat 60, otrzymał radosną wiadomość, że ma do odebrania wielki spadek. Tak go ta wiadomość ucieszyła, że został tknięty paraliżem i zmarł niebawem.

W letargu. Niezwykły wypadek zdarzył się w Lublinie. Pewna kobieta oddała do szpitala na Czystem pod Warszawą synka 8-śmioletniego. Po upływie dni kilku dziecko „zmarło" i wyniesiono je do trupiarni.

W nocy stróż pilnujący trupiarni spostrzegł, jak chłopczyk „martwy" porusza się wreszcie stróż usłyszał szept dziecka: „Mamo, zimno mi".

Zabrano chłopca napowrót do szpitala. Zrana czuł się już o wiele lepiej. Nazajutrz matka i jej krewna przybyły do szpitala zapłakane w celu porobienia przygotowań do pogrzebu. Spotkała je radosna niespodzianka. Dziecko jest na drodze do zupełnego wyzdrowienia.

Złote myśli i zdania.

Kto nieszczęśliwym wsparcia udziela,
Ten święci czynem słowa Zbawiciela,
Pomnijmy, gdy bliźniemu dłoń pomocy dajem,
Że on może nas kiedyś poratować wzajem.

Upadek młodzieży.

(Kilka uwag na czasie).

W Krakowie i we Lwowie wykrywa policya co trochę bandy młodocianych złodziei, wśród których, niestety znaleźli się ostatnimi czasy także i uczniowie szkół średnich, tj. gimnazyalnych i wydziałowych, a którzy uprawiali rzemiosło złodziejskie po domach prywatnych z niemniejszym sprytem, jak zawodowi złodzieje.

Wśród młodych rzezimieszków w Krakowie zajmowała jedno z pierwszych miejsc banda, która nosiła łacińską nazwę: „Cognovi terras mundi“ („Poznałem ziemie świata“). Członkowie tej bandy, przeważnie 14 i 17-letni uczniowie dopuszczali się kradzieży w celu zebrania gotówki na podróże po świecie.

Prawie równocześnie okradziono we Lwowie kościół św. Marcina z różnych wotów i różnych złotych i srebrnych naczyń kościelnych, a złodziejami, jak stwierdzono, przy ich schwytaniu, byli też uczniowie szkolni.

Oprócz tych wypadków, nie brak i innych, stwierdzających, że młodzież nasza wśród tej wojny bardzo upadła pod względem moralnym, i to tak w miastach, jak i po wsiach, gdzie młodzi chłopcy również dopuszczają się kradzieży po chatach, a rozpuścili się jak dziadowskie bicze, o czem świadczą liczne rozprawy sądowe.

Czas już chyba wielki, aby tej zgniliźnie moralnej kres położyć, w pierwszym zaś rzędzie powinni do pracy nad poprawą młodzieży zabrać się rodzice i nie tylko swym wpływem, ale gdy potrzeba, i karą, naprowadzić młodzież na lepsze drogi.

Wiadomo jednak, że dziś wielu ojców rodzin legło na polu walki lub walczy dalej, a matki zajęte troską o byt rodziny i pracą dla tegoż bytu, nie mają czasu zająć się należycie dziećmi, inne zaś nie mają na tyle siły i powagi, by na dzieci wpływać.

Konieczną tedy jest rzeczą, by władze rządowe i gminne pomogły w tej sprawie rodzicom i odpowiedniemi zarządzeniami odwodziły młodzież od złego. Po wsiach naprzykład, mogłyby Rady gminne uchwalić kary na zepsutą i źle postępującą młodzież, w miastach zaś, gdzie aresztują i karzą taką młodzież zepsutą, możeby lepiej było chronić ją od złego przez usuwanie źródeł, z których młodzież złe nauki czerpie.

Takiemi zaś źródłami, skąd młodzież miejska najwięcej może dziś czerpie moralnej trucizny i gdzie się kształci na rzezimieszków i bandytów, są tak zwane kinoteatry — czyli teatry żywych fotografij.

Prawie niema przedstawienia w tych teatrach, na któremby nie pokazywano jakiejś zbrodni, wcale nie potępiając jej, ale podnosząc ją często jako czyn sprytny i bohaterski.

Kinoteatry są dziś, można śmiało powiedzieć, bardzo często szkołą dla różnych rzezimieszków i zbrodniarzy. Władze jednak nasze nie widzą w kinoteatrach i przedstawieniach ich tego złego, i nie konfiskują obrazów tamże wyświetlanych, natomiast gorliwie pilnują, by w gazetach katolickich nie przeoczyć czegoś, co tchnie obroną Polski lub wygładzanego ludu.

Wolno u nas pokazywać w kinoteatrach zbrodnie i sprośne zabawy, ale nie wolno pisać o krzywdach, jakich dziś doznaje naród polski, o głodzie i innych cierpieniach, a nawet konfiskuje się mowy biskupów, jako niby niebezpieczne dla państwa; konfiskuje się nie raz, ale często, jak to widzimy w „Nowym Dzwonku", całe stronice, natomiast obojętnie patrzą władze na przedstawienia w kinoteatrach, choć gazety wszystkie stanowczo stwierdzają, że tam jest główna dziś szkoła zepsucia, że tam się młodzież kształci na bolszewików.

Do zepsucia i rozzuchwalenia młodzieży przyczyniają się też wiele obecne wielkie zarobki, jakie młodzież dziś otrzymuje za swą pracę na roli, w fabrykach i innych zajęciach.

W Niemczech nakazały niektóre komendy wojskowe, by z zarobków młodzieży pracującej w wojskowych fabrykach, wydzielały zarządy tych fabryk część znaczną i składały ją na książeczki oszczędnościowe. U nas tego niema, a byłoby to pożądanem wielce i dla młodzieży bardzo korzystnem.

Młodzież niemiecka nie sprzeciwia się temu zarządzeniu, bo jest przyzwyczajona do karności. U nas powstałyby z tego powodu przeróżne kłopoty i strejki, bo nasza młodzież karności nie zna, jak i w ogóle cały naród słabe ma o niej pojęcie, dlatego Niemcy swą karnością i organizacyą cały świat zwyciężają, a nasi przodkowie swą niezdarnością Polskę zgubili.

W karności młodzieży leży także przyszłość Polski, że zaś dziś z braku opieki rodzicielskiej brak u nas tej karności, dlatego potrzeba dla młodzieży zakładać stowarzyszenia, w którychby młodzież można wychowywać na porządnych przyszłych obywateli i chronić ją od złych wpływów zewnętrznych.

Takie stowarzyszenia powinny istnieć po wszystkich naszych miastach, miasteczkach i wsiach, a zakładać je winni wspólnie księża, nauczyciele, rodzice i wogóle obywatele, którym zależy na tem, aby Polska doczekała się kiedyś z młodzieży pociechy i pożytku. *Prawdomowny.*

Karasiek.

Było to w roku 1809, to jest przed 109 laty, w tym czasie, kiedy sławny cesarz francuski Napoleon zdobywał kraje Europy i uwodził Polaków swojemi obietnicami.

Uwodził, powiadamy, bo obiecywał im wiele, z ich pomocą zdobywał najtrudniejsze miejsca — a w końcu odebrał od nieprzyjaciół malutki kawałek i nazwał to „Księstwem Warszawskiem“. Przekonali się wtedy ojcowie nasi, że nie wiele to warto na cudzą pomoc liczyć — i z bólem przyjęli choć tę odrobinę z kraju ogromnego, pocieszając się nadzieją, że powoli powiększą granice.

Tymczasem austryacki arcyksiążę Ferdynand, korzystając z wojny między Austryą a Napoleonem, wszedł do Księstwa Warszawskiego i zajął Warszawę. Książę Józef Poniatowski stanął na czele wojska polskiego i bronił kraju. Polacy nie dali Austryakom dostać się na drugą stronę Wisły i tam rozłożyli się obozem. Dowódzcą gwardyi narodowej, zajmującej lewy brzeg Wisły, był Hornowski. Do niego przyszedł raz człowiek małego wzrostu, mizerny, trochę przygarbiony i powitał go słowem:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki — odrzekł Hornowski — cóż mi powiesz?

— Chcę służyć Ojczyźnie, przemówił nieznajomy. — Dowódzca spojrzał na tę postać mizerną, słabą i rzekł:

— Bardzo to ładnie, mój bracie, że pragniesz służyć Ojczyźnie, ale zdaje mi się, będziesz za słaby do wojowania.

— Wielmożny panie! — mówił na to przybyły — nazywam się Karasiński, jestem rybakiem, a umiem tak doskonale pływać, iż dlatego nazwano mię Karaśkiem. Od brzegu Wisły na drugą stronę przepłynąć, to u mnie igraszką. Dlatego chcę prosić, może panu potrzeba do Warszawy jakie listy podać, może stamtąd jakie wiadomości przynieść — ja popłynę i z chęcią to zrobię.

Zdziwił się niezmiernie, ale jeszcze więcej uradował tą nowiną Hornowski. Właśnie bardzo mu było potrzeba mieć wiadomości tajemne z Warszawy, a dostać ich nie było sposobu.

Tego dnia, nad wieczorem, Karasiek dostał w malutkiej flaszeczce, na cienkim papierze napisany list, flaszeczkę opieczętowano i zawieszono na szyi. Poczciwy rybak niby z dzbankiem po wodę poszedł do Wisły — rzucił się i począł płynąć. Odtąd co dzień przynosił wieści z Warszawy na Pragę, to jest na przedmieście po drugiej stronie Wisły, gdzie stał Hornowski z wojskiem, a stąd znów do p. Krasińskiego w Warszawie.

Parę razy strzelali do tego człeka poczciwego Austryacy, ale też jak prawdziwy karasiek dawał nurka i wypływał dobrych parę sążni gdzieś dalej w bok. Jakby sobie żarty stroił z nimi. Tu się zjawił, tam zginął, nieraz już i nasi z żalem wołali, patrząc z brzegu na to, „przepadł, niema go“, ale gdzie tam — Karasiek zjawił się zawsze.

Później dostał za to krzyż srebrny jako nagrodę zaszczytną.

Słusznie to mówią — dla chcącego nic trudnego. Niechby tylko każdy z nas chciał dla dobra kraju pracować a służyć Ojczyźnie, pewnieby mu to nie było trudno, ale o to właśnie idzie, aby chcieć. Wiele razy godziłoby się nam wspomnieć tego biednego rybaka, służącego pływaniem Ojczyźnie i pomyśleć... O! kraju nasz drogi, kochany a nieszczęśliwy, o ziemio pełna mogił i łez... o matko przez wrogów gnębiona... chcę dla ciebie pracować, kochać, żyć i być ci pomocnym do uzyskania lepszych dni. Chcę zachować synowską miłość dla Ciebie i przywiązanie, zachować język ojczysty, wiarę świętą i poczciwe obyczaje polskie.

Słusznie powiedział jeden sławny pisarz:

— Kto wierzy w siłę, ten ją ma.

A jak to błogo służyć Ojczyźnie... Co za śliczne, a święte słowa! A jak mało dziś między nami są znane. Nie tak dawniej było. Dawniej, to rosło dziecię każde już z myślą o tem, że po Bogu służbą największą, jest służba dla Ojczyzny — że każdemu należy o niej pamiętać. A! może powie niejeden — dawniej, kiedy na wojnach szablą się rąbano, łatwo było znaleźć sposobność do służenia Ojczyźnie, ale dziś — jakże to uczynić? Łatwa na to odpowiedź. — Pracować uczciwie i gorliwie — nie splamić tego imienia „Polaka“ żadnym czynem nieszlachetnym — pamiętać zawsze o tem, że gotowym być trzeba do wszystkich ofiar dla tej Matki Ojczyzny — ile można zachęcać drugich do jej miłości... Oto służba dla Ojczyzny!

Contra spem spero!

(Wbrew nadziei — nie tracę nadziei!)

Choć burze huczą dokoła nas,
Choć twierdzi wróg, że Polska, to — zero,
Choć ciężki naszej niedoli czas —
Contra spem spero!

Choć rój klęsk licznych na Polskę spadł,
A wróg ją dręczy jak drugi — Nero
I jak krwiożerczy kąsa ją gad,
Contra spem spero!

Choć wad w nas mnóstwo jeszcze dziś jest;
Co — dżumą dla dusz są i cholerą,
Choć w karczmach zgubny bierzem dziś chrzest,
Contra spem spero!

Choć gromy biją w Ojczyznę wciąż,
Względem niej ludzkość cała nieszczerą,
Choć śmierć gotuje jej zdradny wąż,
Contra spem spero!

Choć więc nad Polską niewoli noc,
Co twarz powlokła jej trupią cerą,
Wiedząc, że wielka jest Boża moc:
Contra spem spero!

Ks. Józef Janiszewski.

Ze wsi belgijskiej.

O Belgii każdy z nas słyszał nieraz już w czasie tej wojny światowej. Przez Belgię przeszli Niemcy przemocą na początku wojny obecnej, zdążając ku Francyi.

O wsi belgijskiej zaczęliśmy pisać tuż przed wojną, nie skończyliśmy jednak tego opisu, bo z powodu wojny zmuszeni byliśmy przerwać wydawanie pisma.

Teraz chcemy dokończyć opis rozpoczęty, ze względu jednak na nowych czytelników, którzy początku opisu nie czytali, musimy ten początek powtórzyć, dodając zarazem już i zakończenie.

Belgia jest małym krajem, liczącym 6 milionów mieszkańców. Ze wschodu graniczy ona z Niemcami i Holandyą, a od zachodu z Francyą...

Uprawa ziemi stoi tam bardzo wysoko, a przemysł fabryczny nadzwyczaj rozwinięty, więc Belgijczykom powodzi się dobrze i, o biedzie, takiej jak u nas — pojęcia tam nie mają.

Wieś, której opis dziś zamieszczamy, leży w południowej, górzystej części Belgii, nad rzeką Urtą, która wije się piękną a długą doliną pośród gór.

W dolinie tej leży wioska i ciągnie się tor kolei żelaznej. Domy jedne stoją bliżej rzeki, inne odsunęły się wyżej na zbocza wzgórz. Wszystkie murowane z cegły lub kamienia, kryte dachówką. Przy każdym domu niewielki sadek i ogród warzywny, których owoce idą przeważnie na własny użytek. W ogrodzie pełno pięknych krzaków róż, goździków i innych. Wino, bluszcz i rozpięte koło ścian krzaki jabłoni i grusz, otaczają miłą zielonością każdą chatę wiejską, a pęki smacznych owoców zwieszają się nieraz tuż nad oknami.

Pięknym jest widok takiej wioski. Dołem, jak wąż połyskujący, wije się wśród zieleni ogrodów rzeka; nad nią chaty tonące w sadach; zbocza gór szumią wierzchołkami dębów i sosen, a wyrzej srebrzą się łany żyta. Na drodze wiejskiej — równej, a kamieniami usypanej — ruch panuje słaby. Gdzieniegdzie widzisz bawiące się dzieci, lub kobietę wracającą z miasta z wózkiem, zaprzężonym w dużego psa. Takie wózki służą zwykle tutaj do rozwożenia mleka, pieczywa, warzywa i t. p.

Mieszkańcy wsi są Wallonami; są oni pokrewni Francuzom i mówią narzeczem, podobnem do języka francuskiego. Lud to

wesoły, dobroduszny i niezmiernie pracowity. W dzień powszedni nie spotkasz we wsi żywej duszy próżnującej, chyba kalekę lub starca: wszędzie widać ruch i życie. Mężczyźni — w niebieskich bluzach i szerokich kapeluszach — orzą, pracują w ogrodach, wywożą nawóz, wyłamują kamienie w górach, rąbią drobne drzewa w lesie i dowożą do stacyi kolejowej na opał dla piekarzy, gdyż wogóle w całej Belgii wszyscy palą w piecach węglem kamiennym. Kobiety piorą bieliznę, szyją, niańczą małe dzieci, gdyż większe uczą się w szkole, albo też pomagają mężom w pracy. Kto nie ma własnego gospodarstwa, chodzi na robotę do fabryki. Taki robotnik, zjadłszy rano śniadanie z kawy i chleba z masłem, idzie o godzinie 6 rano do fabryki; o godz. 12 wraca na smaczny, a suty obiad, który mu przez ten czas ugotowała żona; potem odpoczywa, wypali fajeczkę i znowu idzie do roboty.

Bardzo miłe wrażenie sprawia wielka czystość włościan belgijskich. Jest zwyczaj w miastach tamtejszych, że raz, a nawet dwa razy na tydzień, gospodyni zmywa gorącą wodą z mydłem zewnątrzne ściany domów, mokremi szczotkami czyszczą chodniki i bruki: otóż to samo dzieje się po wsiach co sobota — i dlatego każda wieś wygląda w niedzielę prawdziwie, jak odświętnie przystrojona.

Toż samo przyzwyczajenie do czystości widać i w ubiorze mieszkańców. We wsi jest niemało biedaków, których ubranie jest stare, połatane, pończochy pocerowane, na nogach drewniane chodaki — ale brudu i błota na nikim nie zobaczysz. Belgijczyk wydziwić się nie może, słysząc, że są na świecie ludzie, którzy rzadko się myją, nigdy prawie się nie kąpią, a ciało mają oblepione brudem i gnojem, jak... et! lepiej nie powiem kto.

Drugą oznaką dobrego wychowania włościan tutejszych jest ich grzeczność i uprzejmość. Rzadko spotkać przechodnia, któryby nie pozdrowił was miłem słowem, a lada dzieciak wita was grzecznie: „Bą żur, mosje!“, co znaczy: Dzień dobry panu!“ Pod tym względem podobne to jest do naszego starodawnego powitania: „Pochwalony Jezus Chrystus“, — które jednak — niewiadomo czemu — w wielu okolicach zaczyna wychodzić z użycia.

Jak wszędzie prawie zagranicą, każda choćby najmniejsza wieś w Belgii posiada swoją szkołę. W wiosce, którą opisujemy, są nawet dwie szkoły: jedna ogólna, a druga katolicka, utrzymywana przez Kościół.

Szkoła ogólna mieści się w pięknym budynku. Izby szkolne są obszerne, widne, zaopatrzone w mnóstwo map, globusów, obrazów i t. p. Dzieci, prócz bardzo starannego wykładu języka ojczystego, dziejów kraju, i innych, zwykłych nauk, uczą się gimnastyki i śpiewu. Zajęcia w szkole trwają przez cały rok, prócz paromiesięcznej przerwy letniej, niezbędnej dla wypoczynku zarówno uczniów, jak i nauczyciela. Niema tam takiego zwyczaju, żeby dzieci posyłać tylko trzy miesiące na naukę, a trzy ćwierci roku oddawać na służbę bydlętom i świniom; nikt nie pędzi dzieci na pasionkę, nikt nie tłómaczy się tem, że i on za młodu bydło pasał, a przecież na gospodarza wyrósł, — bo, prócz osobnych pastuchów, nikt w Belgii bydła nie pasie, żałując drogiego czasu na służenie krowom.

Wogóle znać tam ciągłą troskę o dzieci serdeczną nad niemi opiekę, a nawet chęć dostarczania im przyjemności. Dlatego też mały Belgijczyk patrzy na świat wesoło — uśmiecha się do życia, które wabi go do siebie radośnie. Otoczony dobrocią i miłością w rodzinie własnej i w szkole, wyrasta sam na człowieka dobrego, miłującego współbraci. U nas często smutnie sprawdza się przysłowie, że „czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci.“ W Belgii sprawdza się to jak najlepszemi skutkami prawdziwie dobrego i umiejętnego wychowania dziatwy.

Miłym bardzo jest naprzykład dzień świętego Mikołaja, zwany „świętem dzieci.“ W dzień ten wszystkie dzieci dostają podarunki, najbiedniejsza nawet rodzina nie odmawia swojej dziatwie tej przyjemności, a sieroty otrzymują podarki od ludzi zamożniejszych.

Podarki te kładą dzieciom w nocy do łóżka, lub chowają im do trzewików. Dziatwa budzi się rano, przeciera przespane oczęta i znajduje koło siebie najrozmaitsze zabawki. Toż to dopiero gwar i radość! Wszystko to wysypuje się na ulicę; jedne grają na trąbkach i harmonijkach, inne bębnią; te strzelają z dziecinnych pistoletów, tamte piastują lalki, ciągną wózki i saneczki, bawią się w konie, pobrzękując dzwoneczkami czerwonych lejców.

Wielką różnicę wsi belgijskiej od naszej stanowi jeszcze i to, że mieszkańcy, pracując nie mniej od nas, umieją jednak lepiej skorzystać z owoców swej pracy, umieją życie swoje milszem i wygodniejszem uczynić. Tak np. w lada wiosce jest poczta, doktór, apteka, — często nawet drukarnia. Sklepy wiejskie zaopatrzone są w najrozmaitsze towary w dobrym gatunku i po cenach nie wyższych, niż w mieście. Często jest zajazd i go-

spoda, czyli kawiarnia, gdzie Belgijczyk chętnie przesiaduje po pracy, gawędząc z sąsiadami.

Gazety i książki znajdują się w każdej wsi, wskutek wielkich ułatwień w ich sprowadzeniu pocztą. Listy i gazety roznoszone bywają w dni powszednie trzy razy: rano, w południe i wieczorem, w święta tylko raz — rano. W paru miejscach wsi, dla wszystkich widocznych, przybite są skrzynki do wkładania listów, jak u nas po miastach pocztowych. Marki do listów są tanie. Wysyłanie pieniędzy jest nadzwyczaj uproszczone. Składa się pieniądze na poczcie do kasy, podaje się adres osoby, której je przesłać chcemy, i poczta miejscowa natychmiast prawie osobie tej pieniądze ze swojej kasy wypłaca. Ogromnie ułatwionem jest także opłacanie gazet. Jeśli kto chce sprowadzać sobie jakieś pismo, to składa przedpłatę listonoszowi, daje swój adres — i za parę dni pismo zaczyna już odbierać, gdyż poczta sama wysyła ową przedpłatę do redakcyi.

Dzięki takiemu urządzeniu, dzięki wogóle wybornym środkom przewozu, we wsiach belgijskich gazet i książek jest mnóstwo, tembardziej, że są one wogóle tanie i nawet dla najbiedniejszego wyrobnika dostępne. Ale też, co prawda, prócz ludzi chorych na umyśle, niema w Belgii takich, którzyby czytać nie umieli.

Im bardziej rozwija się lud tamtejszy, tem więcej wzrastają jego potrzeby i dogodności życiowe. Dla Belgijczyka nie jest marzeniem pędzić życie w nieustannem jarzmie, w ciemnocie i niedostatku. On nie umie żyć jak wół, lub koń: on chce żyć jak człowiek, który zadawalniać musi nietylko cielesne, ale i wyższe — duchowe potrzeby. Zrozumiawszy od dawna potęgę wspólnej pracy, Belgijczyk tworzy setki i tysiące stowarzyszeń i spółek — rolnych, sklepowych, spożywczych, oszczędnościowo-pożyczkowych i innych — i z ich pomocą zdobywa sobie lepsze, prawdziwe ludzkie warunki życia.

Na zakończenie zobaczmy jeszcze, jak spędzają święta mieszkańcy wsi belgijskiej.

Przedewszystkiem rano idą wszyscy na Mszę świętą lub na Nieszpory wieczorne. Popołudniu każdy bawi się, jak chce i może. Jedni siedzą w domu z rodziną, inni udają się do kawiarni na gawędkę, na gry lub czytanie gazet. Ci łowią ryby w rzece, tamci zbierają się na wysłuchanie przemowy lub odczytu wędrownego mowcy, na przedstawienie teatralne, które ich sąsiedzi urządzili. Wieczorem na łące rozlegają się wesołe dźwięki ka-

peli amatorskiej, młodzież tańczy raźno a starsi siedzą dokoła, popijając kawę lub piwo. Od czasu do czasu odbywają się ćwiczenia gimnastyczne, strzelanie do celu, śpiewy chóralne i inne prawdziwe szlachetne rozrywki.

A teraz powiedz Czytelniku, czy nie chciałbyś, żeby i w twojej wsi ludzie żyli tak miło swobodnie i pracowicie, a wesoło?

I u nas kiedyś — da Bóg — będzie — ale, aż oświata tak się rozszerzy, jak w Belgii.

Jak w Polsce synowie czcili rodziców.

Niema zapewne dziecka polskiego, któreby nie znało dwóch pięknych pieśni nabożnych, zaczynających się od słów: „Kiedy ranne wstają zorze“ i „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Te dwie pieśni, jako też wiele innych, ułożył Franciszek Karpiński, który się urodził 1740 r. we wsi Hołoskowie, a umarł w Chorowczyźnie na Litwie 1825 r.

Karpiński w młodości płatał nieraz figle. Małej siostrze wziął krzyżyk bursztynowy i sprzedał za kwartę jagód, a później ukradł nożyk wieśniakowi. Gdy się o tem ojciec dowiedział, rozkazał, aby ów wieśniak wyliczył 10 batów Franusiowi. Wdzięczny syn, opisując w późnej starości to zdarzenie, nazwał rękę ojca świętą, że karała drobne przewinienia.

Ukończywszy szkoły, przybył Franciszek do domu rodzicielskiego. Dawniej w Polsce panowało takie uszanowanie dla rodziców, że w ich obecności nie było wolno usiąść bez pozwolenia, a tem więcej stać do nich tyłem, choćby nawet oprzeć się o ścianę. Młody Karpiński przestrzegał uważnie tych przepisów, a wtem ojciec bez żadnej przyczyny w twarz go uderzył. Syn milczał pokornie, spuściwszy oczy ku ziemi.

Rozrzewniony ojciec zawołał: „Synu mój, jam prostak, bo tylko umiem czytać i trochę pisać, a tyś uczony. Doświadczyłem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od twego ojca, a że jesteś skromny i pokorny i ponieważ czcisz twego ojca, niech ci Bóg błogosławi!“

Spełniło się to błogosławieństwo, gdyż Karpiński, dorobiwszy się usilną pracą i oszczędnością znacznego majątku, dożył w dobrem zdrowiu sędziwego wieku, liczył bowiem przy zgonie przeszło 84 lata.

Z GOSPODARSTWA.

O utrzymywaniu dobytku w czystości.

Kiedy koń, krowa lub świnia starannie wyczyszczone, to i miło na nie spojrzeć człowiekowi. Ale, niestety, w większej części naszych gospodarstw żywina trzymana jest w brudzie. Czyści się konia, krowę, lub świnię wtedy, gdy się je ma prowadzić na jarmark.

Ale co tu mówić o czyszczeniu zwierząt, kiedy u nas jest jeszcze dużo takich ludzi, co się myją porządnie tylko na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. W niedzielę i święta obmywają się też jako tako, w dnie atoli powszednie to chodzą brudni, oblepieni potem, a niejeden zrana wstawszy, czasem i gęby sobie nie wypłucze. A przecież wody wszędzie jest dosyć i nic ona nie kosztuje.

Pomału zmienia się to na lepsze, i oświata wypędza brud i niechlujstwo z naszych domostw. Ale dużo jeszcze jest takich ciemnych uparciuchów, którzy nie dbają o siebie, ani o swe dzieci, ani o swój dobytek. Przywykli od młodu do brudu i niechędóstwa, nie chcą zrozumieć, że czystość i porządek około ciała, tak u ludzi, jak nieprzymierzając i u zwierząt gospodarskich, są potrzebne nietylko dla piękności, ale najbardziej dla zdrowia.

Kiedy w ciele ludzkiem pozalepiane są potem i brudem pory czyli maleńkie otworki, to człowiek nie może być zupełnie zdrowym. Ileż to dolegliwości, ile chorób sprowadza na ludzi brud skóry!

Tak jak z człowiekiem, tak jest nieprzymierzając i ze zwierzęciem. Kiedy pod szerścią zwierzęcia skóra zapaskudzona jest brudem, to choćbyś je jak najlepiej żywił, nie będzie ono całkiem zdrowe i zawsze będzie ono nędznie wyglądało; bo chociaż dużo żre, ale mu ta pasza nie idzie tak na pożytek, jak wtedy, gdy jest utrzymywane w czystości.

O tem, jak bardzo przyczynia się czystość skóry do utrzymania zwierzęcia przy zdrowiu, przekonali się uczeni badacze przez różne próby. I tak naprzykład wzięli całkiem zdrowego królika, ostrzygli go i posmarowali całego, oprócz oczu i pyszczka, lakierem, żeby powietrze nie miała dostępu do skóry. W parę godzin potem królik zdechł.

To samo próbowali robić i z innemi zwierzętami — i każde zdychało. A przecież zwyczajny lakier nie jest żadną trucizną

dla skóry, tylko zasklepia wszystkie drobne dziurki, któremi wychodzi z niej pot oraz tłuszcz, znajdujący się w skórze, a oprócz tego różne uloty, które się ze krwi przez nie wydostają. Gdy więc przez takie osmarowanie lakierem pozatykały się w skórze owe dziurki (co są takie małe, że je tylko przez szkła powiększające dojrzeć można), tedy to wszystko z ciała wydobywać się nie mogło, krew coraz bardziej gęstniała i zwierzę musiało zdychać.

Otóż wszelki brud zatyka także te dziureczki w skórze. Wprawdzie nie zasklepia on ich tak szczelnie, jak lakier, więc i zwierzę od tego nie zdycha; ale nietrudno przecie wymiarkować, jak bardzo to musi szkodzić jego zdrowiu.

Przez skórę nie mogą już tak łatwo wydostać się wtedy różne uloty ze krwi, więc ona oczyszczać się z nich musi w samych jeno płucach, przez to zwierzę prędzej oddycha i snadniej się męczy w robocie. Pot i tłuszcz nie mogą się także wydobywać na zewnątrz, na wierzch, więc cząsteczki, z których się one wytwarzają w skórze, krew niesie do nerek i do różnych gruczołów kiszkowych, aby tamtędy dopiero wyszły z ciała razem z moczem albo z kałem. Nerki tedy i owe gruczoły przepełniają się zgęstniałą krwią, a gdy nakoniec zwierzę z tego zachoruje ludzie głowią się nad wynalezieniem przyczyny choroby, a nie wiedzą, że główna przyczyna — to brud i nieochędóstwo.

Przytem zaś i sama skóra, co zawsze łuszczy się potrosze, gdy nie jest z tego łupieżu zmieszanego z brudem, potem i tłuszczem skórnym oczyszczona, robi się sucha, twardnieje, a szerść co powinna być gładka i lśniąca, staje się kosmata i nie ma połysku. To też sprawiedliwie mówią doświadczeni gospodarze, że „skóra i szerść zwierzęcia są zwierciadłem jego zdrowia".

TO I OWO.

Długi wojenne Austryi.

Komisya kontroli długów państwowych austryackich ogłosiła sprawozdanie o stanie długów państwowych austryackich (bez Węgier) po dzień 30 czerwca 1917 r.

Jak wynika z tego sprawozdania suma długów państwowych wojennych za 3 lata wojny, to jest do 30 czerwca 1917 r. wynosiła: 42 miliardy 298 milionów 892 tysięcy 991 koron.

Przedwojenne długi państwowe wynosiły przeszło 12 miliardów, więc ogółem długi państwowe do 30 czerwca z r. wynosiły przeszło 55 miliardów, a procenta od nich opłacane 2 miliardy i ćwierć.

Wydatki dzienne na wojnę wynosiły w Austryi (bez Węgier) w pierwszym roku wojny przeszło 28 milionów, w drugim 41, w trzecim 49 milionów koron.

O kosztach wojennych Węgier brak dotychczas urzędowyh sprawozdań. Mniej więcej jednak można je obliczyć na 23 miliardy. Razem tedy Austrya i Węgry wydały na wojnę w ciągu trzech lat przeszło 65 miliardów koron.

Kiedy będzie koniec wojny?

W gazecie „World“ wychodzącej w Nowym Jorku pisze jej redaktor, po swoim powrocie z Europy, że Stany Zjednoczone północnej Ameryki dopiero w roku 1919 wyślą na pole walki swą pełną siłę wojskową.

Dopiero więc w roku 1919 osiągnie koalicya większe i korzystniejsze wyniki, niż w roku 1918. Wysoko postawione osobistości zaczynają coraz bardziej wskazywać na rok 1920, jako na rok rozpoczęcia prawdziwych rokowań pokojowych państw centralnych z koalicyą.

FIGLE I ŻARTY.

Ukarany koń.

Żyd jedzie wozem, a że koń osłabiony nie chciał ciągnąć, żyd go wyprzągł i mówi: Nie chcesz jechać, to idź pieszo.

Niebezpieczna rzecz.

— Czy farbowanie włosów jest niebezpieczne?

— Nawet bardzo. Pewien mój znajomy ufarbował sobie wąsy i brodę, a w tydzień potem ożenił się...

Szczęśliwi z musu.

Dwie kumoszki rozprawiają z sobą o swoich mężach i pożyciu domowem.

— Czy szczęśliwie żyjecie z sobą? — pyta jedna dość potulnej miny.

Rozumie się! — odpowiada druga, wyglądająca na Herod babę, — ja bym mu dała, gdyby on nie był ze mną szczęśliwy!

— A mój mąż mnie by dał, gdyby był nieszczęśliwy — z westchnieniem przyznaje pierwsza.

Dobry obrońca.

Adwokat (po skutecznej obronie okrarżonego o kradzież): — Broniłem pana, jak własnego syna!

Oskarżony: — Czy on także złodziej?

W sądzie gminnym.

— Więc z jakiej przyczyny, Janie, pobiliście tak okrutnie Bartłomieja?

— Przyczyny nie było nijakiej, jeno tak odrobinę rozmówiliśmy się po sąsiedzku!

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.
Krakowska Drukarnia Nakładowa w Krakowie, Kopernika 8. — Pod zarządem J. Borkowicza

Ratujcie sieroty!

W zakładzie sierót, utrzymywanym w Kochawinie, w dyecezyi lwowskiej, przez ks. prałata Trzopińskiego, panuje obecnie, z powodu wojny, wielki niedostatek, bo trzeba ubogie sieroty wyżywić i przyodziać, a ksiądz prałat Trzopiński na to funduszów nie ma.

Prosi tedy ksiądz prałat wszystkich ludzi miłosiernych, by retowali jego sieroty i dopomogli im przez sprzedawanie między znajomymi książeczek z **„Nowenną do Najśw. Maryi Panny w Kochawinie“** i książeczek o Kochawinie samej.

Dochód z tych książeczek idzie na utrzymanie sierot.

Pamiętajmy co powiedział nasz Zbawiciel, Chrystus Pan, zachwalając miłosierdzie względem bliźnich: „coście jednemu z tych uczynili, mnieście uczynili“.

Po książeczki należy się zgłaszać do **Redakcyi „Nowego Dzwonka“**, lub wprost do księdza prałata i proboszcza J. Trzopińskiego w Kochawinie (poczta Hnizdyczów — Kochawina).

Rozszerzajcie „Nowy Dzwonek“ między znajomymi!